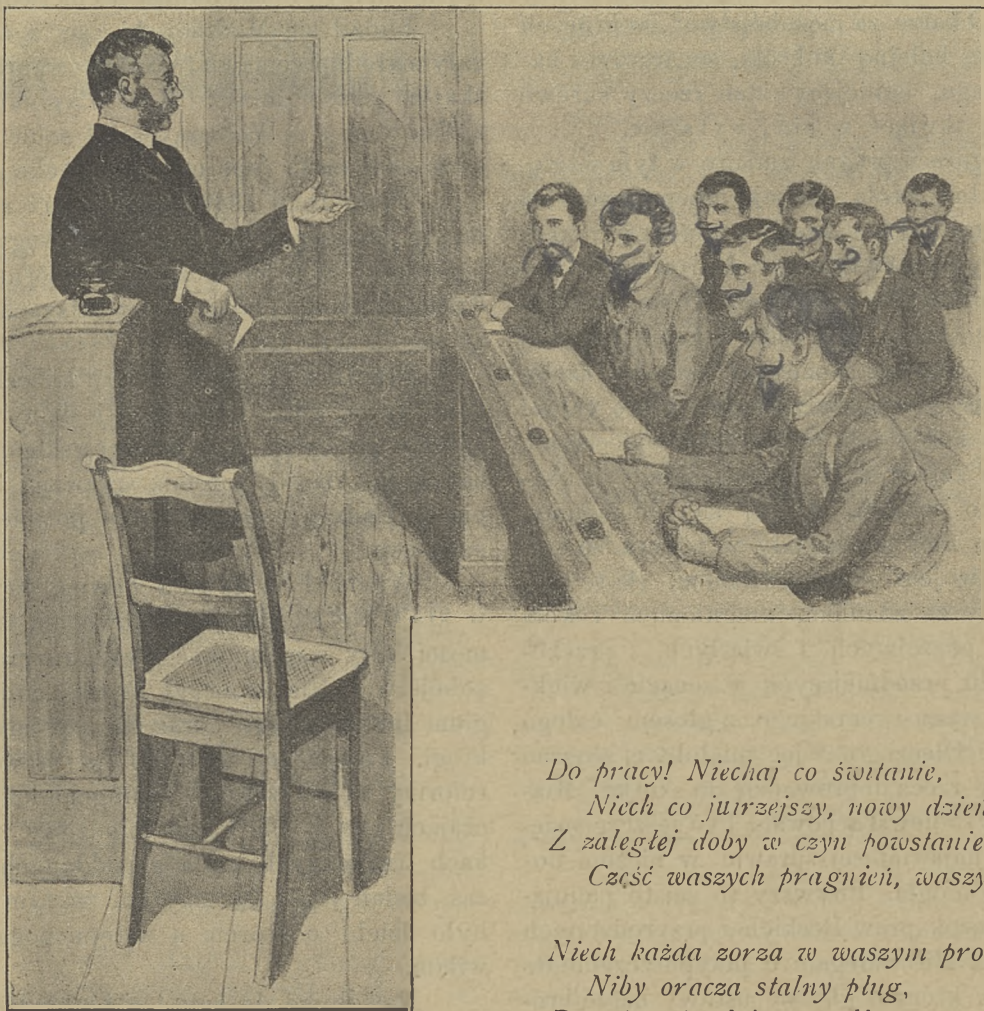


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



*Do pracy! Niechaj co światanie,
Niech co jutrzejwszy, nowy dzień,
Z zaległej doby w czyn powstanie
Część waszych pragnień, waszych chceń!*

*Niech każda zorza w waszym progu,
Niby oracza stalny pług,
Przeciagnie skibę po odłogu,
Aż ją w rodzajny zmieni smug!*

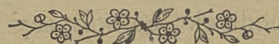
*Niech każda chwila, co się rodzi,
Zdwojonem tętnem bije w was —
Do pracy, przyjaciele młodzi,
Aby zaległy zgonić czas!*

Do pracy, przyjaciele młodzi...



*Na twardej roli posiew wschodzi,
Bo silna wola żłobi głaz!
Do pracy, przyjaciele młodzi,
Aby zaległy zgonić czas!*

E.L.
(K. Laskowski).



Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego.

14. Andrzej Frycz Modrzewski.

(Ciąg dalszy.)

Tak nierówny wymiar sprawiedliwości, kpiący przepaść pomiędzy synami jednej watki, jest dziś dla nas poprostu niepojęty. Bolał też on i oburzał lepszych i mędrszych mężów XVI stulecia. Niestety jednak mniej dobrych i mniej mądrych więcej było i główszczyzna przetrwała wbrew królewskiej woli.

Wtedy to wystąpił Modrzewski i w ciągu czterech lat, od 1563 począwszy, wydał cztery rozprawy „O karze za mężobójstwo“, w których zwracając się kolejno do króla, senatorów i narodu polskiego, istniejący stan rzeczy surowo gromi i zło, tkwiące w nim, wykazuje.

A jak gorąco pragnie zmiany w tym względzie, jak silnie króla do jej przeprowadzenia nakłaniać umie, o tem niech was pouczy przedmowa do Zygmunta Starego skierowana.

„Przypisałem i poświęcam Tobie, miłościwy królu, tę skargę, albowiem nikomu bardziej zależeć na tem nie może jak królom, ażeby wiedzieli, na co się skarżą ludy, które całość i zbawienie swoje ich powierzyły opiece, nie bardziej nie zabezpieczy życia poddanych twoich, jak oto ustawa, której się domagamy. Wszelkie do niej przeszkody w niwecz iść muszą przed twojem postanowieniem, skoro ono się zjednoczy ze zdaniem, pragnieniem i wolą wszystkich pocziwych i światłych, z przekonaniem wielu przedniejszych w senacio i większej części stanu rycerskiego, z głosem całego ludu twego. Dlaczegoż więc miałoby ci zbywać na sile, żeby rzecz doprowadzić do skutku. Miałaby twoja królewska powaga być jeszcze święta, jeśliby najświętszej sprawie w niczem dopomódz nie mogła. Pierwszy to zaiste panujących obowiązek praw Boskich i przyrodzonych przestrzegać. Nie nalegam o przypuszczenie do senatu osób, którym główne ustawy nasze bronią do niego wniknięcia, chociaż gdybym i to radził osobiście, aby ludzi uczonych nie czynić martwymi, radziłbym niewątpliwie rzecz dla kraju naszego użyteczną. Boć zaiste nauki czczą tylko będą marą, jeśli im zabronimy wszelkiego wpływu na sprawy publiczne, jeśli zatkamy uszy na głos mądrych. Wszelako nie targnę się ja tu na zasadnicze prawa rzeczypospolitej, nowości nie wymyślam, powtarzam tylko, co teolodzy, co kaznodzieje, co wszyscy ludzie sądzą

być według prawa Bożego, prawa natury, prawa narodów. Nie tedy mój to głos, lecz głos świata, głos niebios samych. Jeszczeż królu będziesz się wahał, słysząc wyrok samego Stwórcy świata. Sam wiek Twój sędziwy cię napomina, byś dłużej sprawy nie zwłóczył. Pamiętaj, że przed Bogiem sędzią narodów, będziesz zarówno odpowiadał za głowę kmiotka lichego, jak za szlachcica. Odparłeś nieraz Tatary. Wołoszę w jej granicach zawarłeś, przypomniałeś Prusakom powinność uległości i posłuszeństwa. Lecz jeśli nie położysz końca domowej rzezi, jeśli za równe zbrodnie równych kar nie nałożysz, zajmujących się z tego nienawiści nie ugasisz, niezgód wewnętrznych nie uśmierzysz: wierzaj mi królu, posłannictwo twoje natenczas nie będzie wypełnione. Pozostanie coś, czegoś zaniedbał, o co potomność, o co my oskarżać cię będziemy. Pozostanie skaza na twojej sławie“.

Łudził się Modrzewski, że z nim razem cały naród przemawia. Nawoływania jego bez skutku przebrzmiało. Król Zygmunt łatwiej z Tatarami i z Wołoszą dawał sobie radę, niż z egoistycznym uporem szlacheckiego tłumu.

Około roku 1546 został pisarz nasz powołany na sekretarza Zygmunta Augusta. Stanowisko to dało mu możność powtórnego odwiedzenia Niemiec, gdzie go w misjach dyplomatycznych wysyłano.

Przytem przebywanie w kancelaryi młodego króla, gdzie rozstrzygały się najważniejsze sprawy publiczne, dało Modrzewskiemu możność zaznajomienia się z temiż sprawami i wniknięcia dokładnego w potrzeby polskiego społeczeństwa.

Wiedział z dawien dawna, że niejedno w kraju źle się dzieje, a dowodem tej świadomości były wspomniane wyżej rozprawy o mężobójstwie. Nie skończył Frycz na nich. Z biegiem lat myśl jego coraz szersze jęła zataczać kręgi. Pojął, że nietylko w prawodawstwie reformy są potrzebne, zapragnął ich i w obyczajach i w wychowaniu młodzieży i w stosunkach wzajemnych króla a poddanych. Owocem zaś badań jego i rozmyślań w tym kierunku było dzieło, o którym u wstępu pogadanki mówiłam.

Nawołując do zniesienia główszczyzny do Zygmunta Starego się zwracał, pisząc: „O naprawie“ przemawia do Zygmunta Augusta, i w pięknej dedykacji kreśli obraz królewskich zadań i obowiązków.

„Oczekujemy od Ciebie, najmiłościwszy Panie, żebyś rozszerzył to królestwo nie przydaniem do niego nowych prowincyi i krajów, lecz zaprowadzeniem praw świątobliwych, trybunałów surowych, karności sformej. Nowe u nas imię Augusta (pomnożyciela) nosisz, przyczynę

tego królestwa nowym zwrotem, nową ozdobą. Naprzód okaż cnotliwy umysł przywiązaniem do nauk, z których, jakby ze źródeł płyną mądrość, przewaga: prawa rozumu i rząd zbawien-ny, których owocem jest prawdziwa pomyślność. Dalej poczytaj sobie za najświętszą powinność zepsute obyczaje oczyścić, prawa niedołęzne umocnić, upadłą karność podźwignąć. A nie dopuszczaj, żeby przez Twoją opieszałość mieli gotowy do nas przystęp nieprzyjaciele, którym niecnoty, okrucieństwa, wewnętrzne wady i domowe zbrodnie otwierają zazwyczaj szerokie do kraju wrota⁴.

(d. n.)

M. Dynowska.

Z. Morawska.

Przygody Imć Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

Zygmunt August lubił otaczać się ludźmi, którzy na jakim bądź polu ku dobru Rzeczypospolitej pożytek czynili, gdy więc Rej przedstawił mu się rzekł łaskawie:

— Pomnę waszeci, gdyś mnie gadającami zwierzętami zabawiał, a teraz wiem, że w ojczy-
stej mowie księgi piszesz.

— Przecz każde stworzenie swego przy-
rodzonego głosu używa, czemuż my mamy od
łacinników wyrazów pożyczać, — mówił Rej,
kłaniając się dwornie królowi.

— Słusznie, słusznie! — pochwalił tenże.

A Rej, zachęcony tą łaskawością, prawil:

— Wzdy niechaj narodowie też postron-
ne znają, że Polacy nie gęsi, bo swój język
mają.

— Dobrześ powiedział, ja też myślę pro-
sić otaczających mnie panów, by na dworze
moim nie innego jeno polskiego języka używali.

— O najmiłościwszy monarcho, tym je-
dnym rozkazem na najtrwalszą pamięć w na-
rodzie zasłużysz i najpiękniejszy pomnik sobie
zbudujesz, — ozwał się Rej, padając mu do nóg
w wielkim zapale.

A że Zygmunt August równie gorącego
jak i tkliwego był serca, przyjął wylew tej
czułości wielce łaskawie, mówiąc:

— Bywajże mi miły, Reju, i wiedz rej
w ojczystej mowie.¹⁾

Odtąd Rej był częstym gościem na Kra-
kowskim zamku.

Był gościem, a też szczerze się zżywał,
gdy panowie krzywo patrzyli na umiłowaną
i potajemnie przez króla zaślubioną Barbarę
Radziwiłłównę. Napisał nawet w obronie jej

madrygał, ale nie ofiarował go ani krótko pa-
nującej i żyjącej królowej ani niepokieszone-
mu po jej zgonie małżonkowi.

Mówił bowiem:

— Po co dolewać oliwy, gdy smutek i ża-
łość sama płonie.²⁾

Ofiarował za to Zygmuntowi „Zwierzy-
niec“, „Zwierciadło“, „Żywot pocziwego czło-
wika“ i wiele innych ksiąg, które z wielką
ciekawością przez niezbyt chętnych w owym
czasie do ksiąg czytane jednak były.

Rozchmurzał też często królewskie czoło
swemi figlikami i zawsze umiał taką krotoczwilę
powiedzieć, że król mimo trosk, kłopotów i cho-
roby lice śmiechem rozegrał.

A jeżeli rozweselał króla, cóż dopiero
mówić o braci szlachcie.

Gdzie się jeno pokazał, śmiech i wesołość
z nim wchodziły. Gdzie zaś nie był swoją per-
soną, był swoim dowcipem, bo jedni drugim
jego krotoczwile powtarzali.

Powtarzano też za królem:

— Rej wszędy rej wiedzie.

A niektórzy pytali:

— Gdzieżeś się bracie tego wszystkiego
wyuczył?

A on na to:

— Toćem jest prosty człowiek, nigdzie
nie jeżdżając. Tum się paś na dziedzińcu, jak
na miedzy zając.³⁾

— No, no, — tyle napisał i mądze, a i w
wesołości nikt mu nie zrówna, — dziwiono się.

— I w naszej miłej ojczyźnie można też
nauki nabyć, — dodał inny.

A Rej na to:

— Z granicy polskiej mili nigdy nie wyjechał,
Lecz co wiedzieć przystoi, przedsiem nie zaniechał,
A czem był nieuczony, przeciwnie jednak czytał,
A czegom nie rozumiał, innym się pytał.⁴⁾

W duszy zaś dodał:

— Oj, wielu rzeczy nie rozumiem, a choć
się i pytam, z wielu zdać sprawy sobie nie mogę.

— A to wszystko dlatego, że m za młodu
do książki nie był ciekawy, — dodał wzdychnąc.

— Trzeba też dla nauki innych napisać
jak to pocziwy i zacny człowiek pracować
winien i jak ojcowie mają dziatki swoje wy-
chowywać, — myślał dalej.

I napisał „Żywot pocziwego człowieka“,
podpisując już swoje nazwisko.

— Widzęć niejedno na dworze najmiło-
ściwszego monarchy, widzęć i dobre i zło, a od
tego trza młodzieź, a na przyszłość i Rzecz-
pospolitą ochronić, — mówił sobie, pisząc ono
dzieło.

A król mu na to:

— Pisz acan, pisz, toć miło nam, że lu-
dzie nie tylko mieczem ale i mową w pot-
mości po wiek wieków zasłyną.⁵⁾

— A oto młody szlachcic z Sandomier-
skiej ziemi, Jan Kochanowski, kształcił się w Pa-

2) Prawdziwe.

3) Rej: «odpowiedzi».

4) Tamże.

5) Historyczne.

1) Historyczne.

ryżu, przysłał nam psalm po polsku napisany, — mówił król dalej.

— Przeczytaj acan, — dodał, wskazując na papier, leżący przed nim.

Rej zbliżył się do stołu z należnem uszanowaniem i wzięwszy papier, począł:

«Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?

Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?

Ziemia Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,

I w otchłaniach i w morzu, na ziemi i w niebie...».

Król słuchał z wielkiem upodobaniem i podziwem, Rej zaś skończywszy, zamyślił się na chwilę, błogość rozlała się na jego licu i rzekł:

— Temu w nauce dank przed sobą dawałam. I pieśń bogini słowiańskiej oddawałam. ⁶⁾

— Pięknie, pięknie, — ozwał się Zygmunt August, — wielką to włości zaletą, że nie jesteś zarozumiały, a umiesz cenić talent i pracę innych.

Poczem skinął mu głową, na znak, że posłuchanie skończone.

Zaraz też panowie radni poczęli się schodzić, a Rej, oddaliwszy się z posłuchania, myślał sobie:

— Nasz pan nie byle ma głowę, — zajmuje go to, co ludzie piszą, a myśli o sprawach, które nie tylko splendoru ale i siły i jednności i znaczenia Rzeczypospolitej mogą przysporzyć.

— Unia Litwy z Koroną, połączenie dwóch ziem i dwóch narodów w jednolite państwo, toć sprawa, która mu nie małą sławę przyniesie, a naród do wielkiej potęgi doprowadzi. Trzeba na to głowy nie byle, — myślał sobie dalej.

Potem westchnął serdecznie i według zwyczaju, który z laty coraz więcej się w nim rozwijał, począł mówić półgłosem:

— Jak to będzie pięknie, gdy te dwa narody jako bratnie kłosa na jednym polu rosnąć i rozwijać się będą, boć jedno słońko im przyświeca, jednaka dla nich gleba, jednakie podścielisko i jednaki też plon wydać powinny.

— Tak, tak, — mówił dalej, — słońkiem to król Zygmunt August, podścieliskiem jednakie prawa, gleba, Korona i Litwa w jedno państwo złączona, a plonem czyny ludzi ziem tych obu.

Zamilkł, a idąc dalej nie patrzył zgola na domy i ludzi, na słońko, które wiosennymi promieniami świat cały pieściło, jeno w zamysleniu utonął.

Aż znów począł:

— Dobrzeć, że ten Kochanowski poczyną pisać, że nie ja jeden tę polską mowę ukochałem, niechaj nią przemawia, by ona była świadectwem przed innymi, że jesteśmy narodem, co nie tylko mieczem lecz i mową ku wielkości państwa naszego dążymy.

Wtem zakaszał się i tchu mu jakoś braknąć poczęło, więc zatrzymał się, a chwytając się za rozpiętą delię, rzekł:

— I co się to z człeka robi, drzewiej, na wietrze i na słońcu, z wędką po kolana w wodzie, na łowach podczas wichury i śniegu, a żadna przypadłość kaszlu ni dychawicy nie miała dostępu, a teraz...

Odetchnął z trudnością i począł ze smutkiem:

— Dosyćem się pono nabył na tym nędznym świecie. Dosyćem się przypatrzył, co się na nim plecie!...¹⁾

I coraz ciszej coś sobie szeptać począł...

Wtem wzniosł ręce ku niebu i obróciwszy wzrok ku słońcu i głośno, z wielkim przejęciem począł:

— Panie, pozwól, niechaj się na tym świecie poram aby do tej chwili, gdy król z panami wszystko ułoży i unii Litwy z Koroną dokona...

— Cóżto wać według ułożonego przez się katechizmu modlitwę odmawiasz! — Zabrział mu głos nad uchem.

— Toć modliwa do Najwyższego zawsze chyba jednaka — odparł Rej, opuszczając ręce.

— Hm, nie zawsze, bo w wasćnym katechizmie nie wszystko się z religią katolicką zgadza — odparł Klemens z Ramułt, bernardyn, a obecnie nadworny kaznodzieja Zygmunta Augusta, który go właśnie w tej gorącej ekstazie spotkał.

— Katechizm pisany dla kalwinów, a Bóg dla wszystkich — odparł Rej.

— Czy waszeć już zupełnie od nas się odszczepił — spytał znów kaznodzieja.

Rej zarumienił się jak dziewczyna, nie zmienił bowiem wyznania i jako za lat młodych tak i teraz nie wiedział, jakiego stałe się trzymać.

— To wszystko, żem był do nauki nie pilen... — wymawiał sobie.

Nie lubił wszakże przed ludźmi do tego się przyznawać, rzekł więc po swojemu ostro:

— Za ślub mój i za chrzest dwóch moich chłopaków²⁾ katolickim księżom zapłaciłem, a też gdy umrę, skórę będą ze mnie mieli...

— Godnać rzecz o śmierci myśleć, aleć człek ułomny lubi i o innych sprawach pogwaryć — odrzekł bernardyn.

I począł zaraz o onej *unii*, która wszystkich wielce zajmowała.

A że to było właśnie na rynku w Krakowie podle ratusza, a Rej miał dużo znajomych, jakże kompan wielce krotochwilny i ucieśzny, zaczęło się coraz więcej braci szlachty gromadzić, a każdy nadstawiał ucha, co tam usłyszcy. Rej sypał ucieśzne anegdoty, szlachta się śmiała, a młokosi, którzy za starszymi przyciągnęli, nasłuchiwali, podnosząc głowy jako ptaki do jadła. Aż Rej, opatrzywszy się, zawołał:

— Boga mi, złem uczyniłem, żem kaznodzieją nie ostał, toć mnie i żółtodzioby słuchać przychodzą!

— Czekaście, trznadle, napisałem coś dla was, ale teraz miasto mowy dam wam co innego.

To mówiąc podszedł do kramu, a zakupiwszy moc smakołyków, wołał na wyrostków:

— Otwierajcie gęby, a szeroko!

Chłopcy, domyślając się jakiegoś figla, po otwierali usta, jak mogli najszerzej, Rej zaś,

¹⁾ Rej: O końcu człowieku.

²⁾ Jeden umarł w młodym wieku, od drugiego, Stanisława, rodzina Rejów, dotąd żyjąca, ród swój wie.

Skrzętne wiewióreczki.

„U nas tak! U nas tak!
Gdy dojrzeją już orzechy,
Na bok skoki, na bok śmiechy!
Na leszczyny biegniem krzak,
Klik-klak! Klik-klak!

Bierzem z sobą duży wór,
Zaczynamy wielki zbiór.
Za orzechem orzech wpada —
Klik-klak! Klik-klak!



Lecz nie na dziś ta biesiada!
To na przyszłość skrzętny trud,
By nie nastał zimą głód,
By nie nastał zimą brak.
U nas tak! U nas tak!
Klik-klak! Klik-klak!

M. B.

List Krysi S. do Marychny P.

Kochana moja Marychno! Aż mi wstyd przyznać się, że już tak nie tęsknię za tobą, jak z początku, choć zawsze jednakowo cię kocham.

Tyle jednak teraz mam zajęcia po wyjeździe mojej nauczycielki, która wyjechała na miesiąc wakacyi, że naprawdę brak mi nieraz chwilki wolnej. Mamusia znajduje, że jestem już dość duża, mając jedenaście lat, by pomagać jej w gospodarstwie, i wciąż woła mnie do pomocy, w przygotowywaniu zapasów na zimę. Robiliśmy razem powidła ze śliwek, marynujemy rydze i grzyby, po które jeździmy do lasu, suszymy owoce, a wszystkiego oddziela mamusia małe słoiki dla mnie, abym te próby wspólnej naszej pracy, zawiozła tobie do Warszawy; z czego cieszę się już naprzód, myśląc jak ci to wszystko będzie smakowało, Marychno moja.

Przeszłej niedzieli deszcz padał od rana, ze snutkiem więc patrzałam w okno, żalując naszych dzieciaków, że ominie je zwykła zabawa.

Tymczasem wyobraź sobie, mamusia wszystkiemu zaradzić umie, po obiedzie poszła ze mną do pralni, gdzie zastałyśmy już całą naszą gromadkę, uszczęśliwioną widokiem kosza owoców i pudełek z różnemi obrazkami, które ja dawniej naklejałam i podpisywałam dużemi literami, co przedstawiają. Są tam różne zwierzęta, sceny z Hist. Świętej i Polskiej, wreszcie wizerunki królów naszych i sławnych ludzi, wszystko ładnie kolorowane więc dzieciom aż się oczy śmieją do tych śliczności, objaśnień zaś moich i opowiadania słuchały z takim żywym zajęciem, dopytując ciekawie o wszystko, że chwilami śmiech mnie porywał serdeczny. Jagusia i inne dziewczynki, zobaczywszy moje robótki szydełkowe, przez pomyłkę przyniesione z pudełkiem, zaczęły prosić, ażeby i ich tego nauczyła, musiałam przyrzec, iż uproszę mamusię, aby pozwoliła przychodzić im co wieczór do kredensu, gdzie przy oddzielnym stoliku, siedzą moje uczennice, obrębiają, pończochy robią, szydełkują poczerńałami od słońca i obierania ziemniaków rączynami.

Gdybyś widziała kochana Marychno, jak te dziewczęta garną się do mojej nauki, jak pragną umieć robić te wszystkie cuda, za jakie mają moje robótki, to z pewnością uczyłabyś je z taką jak ja ochotą.

Gdy wieczory będą dłuższe, mamusia chce, abym im czytała na głos różne ciekawe historie.

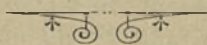
Dla chłopców mamusia myśli urządzić naukę rzemiosł dla domowego użytku, aby nie

zbijali bąków zimą i może trochę zarobić mogli. Zamówiła już nawet nauczyciela koszykarstwa i drobnego stolarstwa.

Tak mam czas zapełniony moja Marychno, że ledwie zdobyć się mogłam na ten list, za który przeproszam cię, bo bez ładu i składu pisanym, na drugi raz poprawię się, a teraz ściskam cię serdecznie

Twoja

Krysia S.



NAPAD NA ZAMEK

Obrazek dramatyczny w 3-ch odsłonach.

Sędziwój. I ptaków dosięgną strzały nieprzyjaciół... Ale, bądźcie spokojni, zamienię was... w kwiaty. Chodźcie, chodźcie coprędzej do ogrodu. (Zdala daje się słyszeć przytłumiony gwar i szum. Wszyscy prócz księcia rzucają się do drzwi).

Sędziwój (oglądając się). Panie prędzej, już idą!

Książe. Idźcie, chrońcie się, ja zostanę na zamku.

Sędziwój. Panie. zginiesz!

Książe. Całe życie byłem rycerzem, chcę nim zostać do śmierci i jak rycerz umrzeć.

Księżna (wybiega z tłumu, z wyciągniętymi rękami dopada do księcia). Mężu, panie, wszak wojska nie ma, sam jesteś, a to nie wojowniczy nieprzyjaciół idzie, tylko banda rozbójników. Ukryj się z nami (obejmuje go z płaczem).

Lolo (wybiega z pośród gości). Mamo, mamo, tatusiu, ja się boję (rzuca się do nich).

Książe (żegna się z nimi). Idźcie, idźcie, bo zginiecie, wróg się zbliża. (Tłum otacza księżną wraz z dzieckiem i uprowadza w głąb sceny. Wszyscy prócz krakusów wychodzą do ogrodu).

Książe. A wy czemu nie spieszycie?

Krakus. Panie, nasz naród nie opuszcza przyjaciela w nieszczęściu. Z tobą zwyciężymy lub zginieśmy! (Gromadzą się koło księcia).

(Gwar z zewnątrz zamku powiększa się z każdą chwilą, wreszcie na scenę wpadają rozbójnicy z bronią w ręku i rzucają się na księcia).

SCENA IV.

Książe, krakusi, rozbójnicy.

Rozbójnik I (do księcia) Tyś tu panem?

Książe. Ja.

Rozbójnik. To dawaj nam swe skarby, swe konie i wszystko co masz cennego na zamku.

Książe (hardo). Nic wam nie dam, rozbójnicy!

Rozbójnik. Wiązać ich!! Rzucają się na księcia i krakusów, wszczynają się krótka walka, ale rozbójnicy zwyciężają, wiążą króla i krakusów i unoszą ich z sobą.

(Kurtyna spada).

A K T II.

(Scena przedstawia ustronną leśną polankę. Po bokach wysokie drzewa, w głębi ze szmerem sączy się strumyk, pod drzewami i na przodzie sceny pełno różnobarwnych kwiatów. Na stronie daje się słyszeć lekki szmer i z za drzewa wysuwa się Sędziwój).

SCENA I.

Sędziwój i kwiaty.

Sędziwój (idzie ostrożnie rozglądając się wokoło). Nic nie słysząc. (nasłuchuje) Cisza wkoło; już odeszli rozbójnicy, a byli tu tak długo, plądrowali po zamku, jedli, pili, ucztowali, jakby byli panami tego domu. Ale wreszcie już ich krzyki ucichły, (przysłania oczy ręką i patrzy w dal). Ot, tam pod lasem widzę całą tę bandę, już odjeżdżają do swych kryjówek. (zamyśla się) Ale co się stało z księciem, mym panem? Może wzięli go do niewoli, może zabili, a może ocalił się i jest tu gdzie ukryty... (woła). Panie, panie już ich niema odezwij się (nikt mu nie odpowiada). Niema go, o czemuż nie chciał przybyć tu wraz z nami, byłby dziś jednym z tych ślicznych kwiatów, (wskazuje na kwiaty) bo to wszystko ludzie, którzy byli na zamku, a których czarnoksiężką mocą zamieniłem w kwiaty. (po chwili) Tym sposobem uniknęli śmierci, ale teraz co z nimi będzie? Odezwijcie się do mnie kwiatki!

Chór kwiatów.

Wybaw nas, Sędziwoju,	Tu słońce zbyt grzeje
Wybaw nas z niewoli,	Promieniami swymi,
Ulituj się kwiateczków	Że ledwie już żywe
Nieszczęśliwej doli:	Chylim się ku ziemi.
Tu złowrogie burze	Chcemy więc na nowo
Szaleją nad nami,	Przybrać ludzką postać,
I północne wichry	Chcemy już coprędzej
Chodzą tu nocami.	Do zamku się dostać.

Wybaw nas Sędziwoju,

Wybaw nas z niewoli.

<i>Lilja</i> chyli się do stóp	<i>Róża</i> pochyla się przed
Sędziwoja.	Sędziwojem.

Patrz-no Sędziwoju	Patrz, jak wichher srogi
Co się zemną stało:	Zburzył kwiaty moje,
Oto złote słońko	Postrząsał na ziemię
Tak mnie dziś przygrzało,	Jasných płatków zwoje.
Że biedne me listki	I wciąż mną szamotał,
Bezwładnie opadły,	Aż rosy kroplami
A płatki korony	Tak zaczęłam płakać,
Śmiertelnie pobladły.	Jako człowiek łzami.

wszedłszy na ławę, stojącą przed kramem, brał pierniki, orzechy a nawet i zamorskie przysmaki, jak: figi, rodzenki i migdały, i rzucał je garściami.

Tak zaś celnie trafiał, że prawie każdemu w otwarte usta smakołyki wpadały.

Śmiech, gwar i przepychanie się napełniło wrzawą rynek cały i okoliczne przecznice.

Wrzawa wywabiała z mieszkań nawet i starszych mieszkańców, każdy biegł, oglądał się a pytał:

— Co zacz?

A Rej huknął:

— Chmura się rozdarła, a miasto deszczu, smakołykami sypnęła...

— Eee!?!—wyrwał się jaki głos.

— Juści, jenoście się spóźnili na to dziwowisko! — zaśmiał się Rej, a wzięwszy któregoś z braci szlachty pod ramię, zaprosił bliżej będących pod wiechę, zostawiając wyrostków i gawiedź, zbierających na rynku rozsypane łakocie.

(D. c. n.)

Zdania i myśli.

Praca jednorazowa, choćby najcięższa, nie jest jeszcze pracą, ale i najlżejsza codzienna staje się prawdziwie pożyteczną.

Kajetan Kraszewski.

✱

Wszelką pomyślność naszą przypisujemy zwykle staraniom i zasługom własnym, niepowodzenie — ludziom i losowi. Zdaje się jednak, że jest wprost przeciwnie: na zło sami pracujemy, a dobro z łaski Bożej przychodzi.

Kajetan Kraszewski.

✱

Starajcie się kochać żywych tak jak kochacie umarłych.

Carmen Sylva.

✱

Szczęście jest większe niż nieszczęście; nieszczęście nie niszczy wspomnienia szczęścia, gdy tymczasem jedna złota chwila każe nam przypominać o najdłuższych cierpieniach.

Carmen Sylva.



Ormianie i Tatarzy zakaukascy.

Nieraz opisywaliśmy w „Wieczorach“ słynny „gród ognisty“ Baku, skąd tysiącami wagonów przybywa do Europy *nafta*, jeden z naj-

ważniejszych materyałów, służących do oświetlania, opalania i innych celów przemysłowych.

Koło tego miasta znajdują się właśnie najbogatsze źródła nattowe, obfitsze niż w Galicyi i Ameryce północnej. Skutkiem tego rozwinął się w najbliższej jego okolicy przemysł naftowy, wzniosła się cała ogromna dzielnica wież wiertniczych i stanęły olbrzymie zbiorniki tego palnego płynu.

Przed dwoma miesiącami Baku usprawiedliwiło, niestety, w dosłownem znaczeniu — miało grodu ognistego, gdyż w skutek walk między ludnością tatarską i ormiańską, wybuchły tam straszne zaburzenia i pożary. Wiele domów w samem mieście uległo zniszczeniu, a dzielnica naftowa, tak zwana, „czarne miasto“ spłonęła prawie doszczętnie. Widok tych pożarów był przerażający, żadne pióro opisać go nie może. Spokojna część ludności i innych narodowości, wśród której znajdowało się dużo Polaków, — jak pisze jeden z naszych prenumeratorów, — musiała uciekać. Nie licząc ogromnych strat finansowych, które odbijają się i u nas przez podrożenie nafty — zginęło bardzo wielu ludzi. Obecnie między zwaśnionemi narodowościami nastąpiła zgoda i życie powraca do normalnego biegu.

Kraj Zaukazki, leżący na południe od Kaukazu w szerokiem międzymorzu, rozdzielającym morze Czarne od Kaspijskiego, — zamieszkują przeważnie trzy narodowości: wyznający religią chrześcijańską, Ormianie i Gruzini, — oraz różne szczepy tatarskie, złączone wspólnem wyznaniem mahometańskiem. Ci ostatni, potomkowie dawnych Mongołów, stoją pod względem kulturalnym daleko niżej od Ormian, z którymi obecnie rozpoczęli właśnie.

Ormianie są jednych z najciekawszych narodów na świecie. Utraciwszy niepodległość od bardzo dawna, zachowali własny język, kulturę i tradycję. Armenia od zamierchłych czasów była jabłkiem niezgody dla potężnych sąsiadów i hołdowała to Persom, to Rzymianom, to Arabom, zanim popadła pod władzę Turków, a potem rozdzieloną została między: Rosyę, Turcyę i Persyę.

Po zdobyciu Armenii przez Turków w XV w. 40,000 rodzin ormiańskich schroniło się do Polski, gdzie zajmowali się handlem i rzemiosłem i zleli się z resztą ludności, zachowując tylko swój obrządek w nabożeństwie.

Wogóle Ormianie wyspecjalizowali się w handlu i rzemiosłach, utworzyli bardzo bogate kolonie w Konstantynopolu i innych miastach handlowych.

Chrześcijanami są Ormianie od niepamiętnych czasów. Już w 301 r. wiara chrześcijańska zapanowała u nich zupełnie, przeważnie za sprac-

wą św. Grzegorza. W VI wieku przyjęli oni herezyę monofizyczną i utworzyli oddzielny kościół pod nazwą: ormiano-gregoryańskiego, którym zarządza wybierany dożywotnio przez synod patriarcha w Eczmiandzinie, noszący miano Katolikos. W XV wieku pomiędzy kościołem rzymsko-katolickim a częścią ormiano-gregoryańskiego stanęła unia, którą uznają przeważnie kolonie ormiańskie, rozrzucone po świecie, od owej unii istnieją ormianie-katolicy połączeni z Rzymem, a posiadający swój własny narodowy obrządek i dwóch arcybiskupów: we Lwowie i w Nachiczewanu nad Donem.

Kultura każdego narodu idzie zwykle w porze z rozwojem języka. Otóż już w V stuleciu Ormianie posiadali własny alfabet. Następne wieki wydały niemało uczonych, zwłaszcza historyków i teologów, którzy wysoko roz-

Daniel w jaskini lwów.

Obraz ten przedstawia znane zdarzenie z życia proroka Daniela, spisane w jego księdze. Kiedy Daryusz Med zgładził Baltazara i zawładnął Babilonem, dla sprawowania rządów w podbitym kraju postanowił aż 120 panów, a nad nimi trzech książąt, z których jednym był Daniel. Ten umiejętnością rządzenia i sprawiedliwością tak dalece wszystkich przewyższył, iż król powziął zamiar przełożyć go nad całym państwem.

To obudziło taką zawiść we wszystkich owych panach i książętach, iż umyślili zgubić Daniela i nakłonili króla do wydania dekretu „aby każdy, kto by prosił jakiej prośby od któ-



Pożar zbiorników naftowych w Baku.

winęli język ormiański starożytny, zwany: „grabar“. Z tego języka powstał język nowo-ormiański („aszcharabad“), który także posiada bogatą literaturę. Liczba wszystkich Ormian na świecie wynosi około 5 milionów.



ŻARCIKI.

Czuły syn.

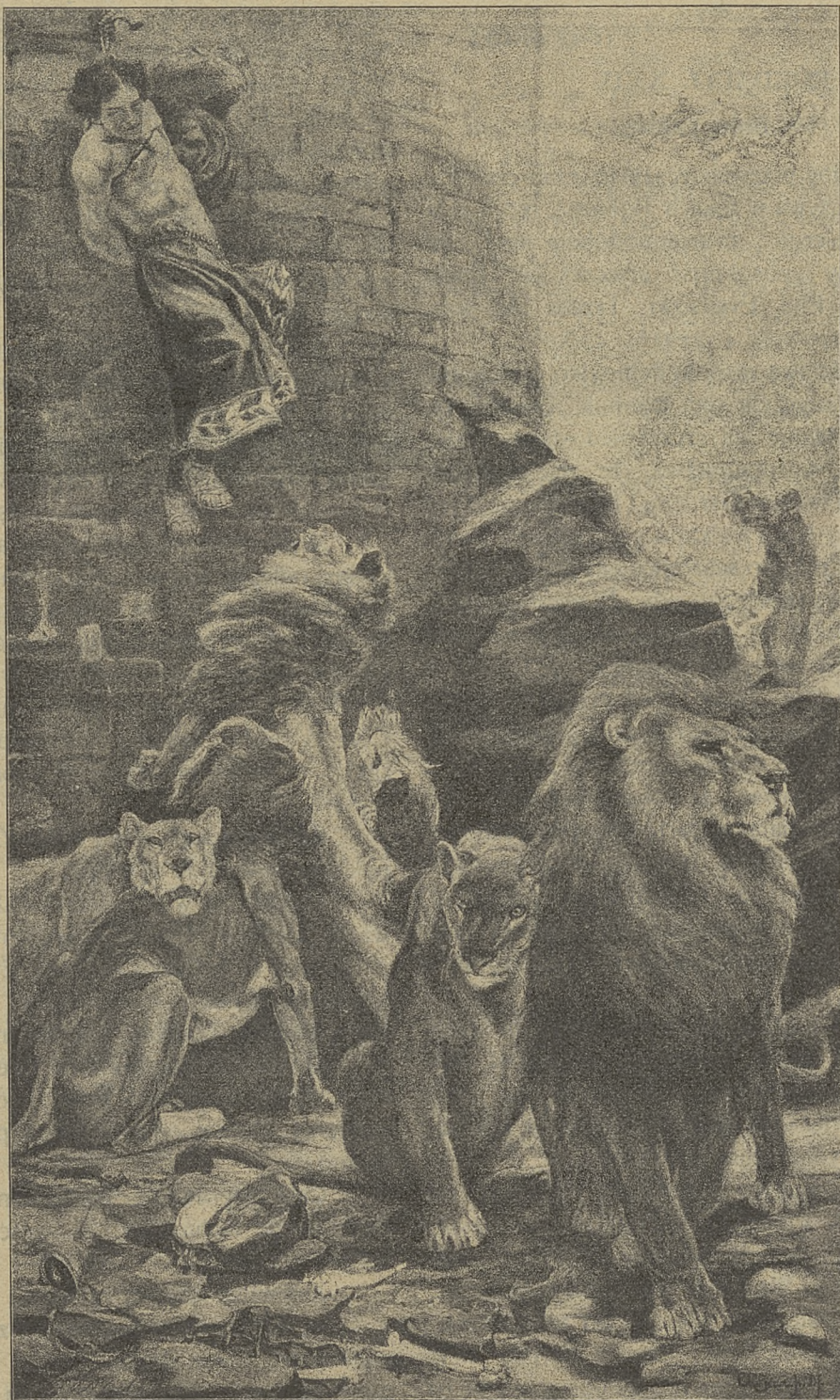
- Mamo, dziś twoje imieniny.
- Tak synku.
- I chciałaby mama spędzić ten dzień bez zmartwienia?
- Tak jest, moje dziecko.
- To ja moją cenzurę pokażę mamusi jutro.



regokółwiek boga albo człowieka, aż do trzydziestu dni jedno (oprócz) ciebie królu, był wrzucon do dołu lwiego“.

Kiedy Daniel pomimo to trzy razy na dzień, otworzywszy okno na sali swej przeciw Jeruzalem, klękał na kolana i chwałę Bogu swemu oddawał, jako i przedtem był zwykł czynić, wtedy nieprzyjaciele jego dowiedziawszy się o tem, zarządzali od króla, aby ogłoszony dekret wypełnił. Król zasmucił się bardzo, ale z żalem musiał spełnić własne postanowienie. Atoli, gdy nazajutrz bardzo rano poszedł do lwiego dołu i znalazł Daniela żywym i zdrowym, tedy wielce się uradował i kazał go zaraz wyciągnąć, a natomiast wrzucić tam jego oskarżycieli.





Daniel w jaskini lwów. (p. str. 490).

Król Przestrzeni.



Ostatnia powieść **Juliusza Verne'a.**

Przekład J. F.



(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XVII.

W imię prawa!

Kto mógłby przewidzieć jaki los mnie czeka?... Wszystko spoczywa w rękach Robura... moja rola jest całkiem bierna... prawdopodobnie nigdy mi się nie nadarzy sposobność ucieczki, jak Uncle Prudentowi i Phil Evansowi. Trzeba się więc uzbroić w cierpliwość i czekać... czekać...

Ciekawość swą zaspokoilem tylko częściowo, o tyle, o ile dotyczyła ona tajemnic Great-Eyry. Zbadałem dokładnie ten szczyt niedostępny i miałem pewność najzupełniejszą, że mieszkańcom Morgantonu, Pleasant-Gardenu i ferm okolicznych nie groził ani wybuch wulkanu ani trzęsienie ziemi. Great-Eyry było tylko schronieniem Robura, składem jego materiałów i zapasów. Prawdopodobnie miejsce to uważał on za bezpieczniejsze od owej wyspy X na Oceanie Spokojnym...

Lecz co się tyczy niezwykłego motoru, sposobów szybkiego przekształcania jednego przyrządu na drugi, nie dowiedziałem się zgoła nic... Przypuszczając nawet, że skomplikowany ten mechanizm wprawiała w ruch siła elektryczności, którą zapomocą jakichś nieznanых akumulatorów Robur czerpał z otaczającego powietrza, o budowie tego mechanizmu nie miałem najmniejszego pojęcia. Systematycznie trzymało mnie w oddaleniu.

Myślałem nieraz, że jestem jedynym czło- wiekiem, który może stwierdzić tożsamość Robura i Króla Przestrzeni... Włożono na mnie obowiązek uwięzienia tego człowieka, a tymczasem ja sam byłem jego więźniem!...

Na żadną pomoc z zewnątrz rachować nie mogę... Władze wiedzą o wszystkim, co zaszło w Block-Rock... prawdopodobnie John Hart i Nab Walker wrócili do Waszyngtonu razem z Wellsem... pan Ward nie łudzi się więc co do mego losu... przypuszcza, niewątpliwie, jedno z dwojga: albo że utonąłem w Erié, albo też, że dostałem się na pokład *Grozy* i jestem w niewoli.

Tak czy owak, nie ma już nadziei zobaczenia mnie więcej.

Parowce, wysłane w pogoń za *Grozą*, ściagały ją aż do samych prawie wodospadów, gdzie znikła im z oczu. Wśród zapadających ciemności nikt nie mógł dojrzeć przekształcenia statku na

przyrząd do latania, oczywiście więc sądzono, że *Groza* zginęła w otchłani wodnej.

Nie chciałem o nic pytać Robura, przypuszczałem, że nie zechce mi odpowiadać. Rzucił dumnie swe imię i sądził, że to mi wystarczyć powinno.

Dzień minął, nie sprowadzając w mym położeniu zmiany najmniejszej. Robur i obaj towarzysze zajęci byli nieodstępnie przy maszynach. Wywnioskowałem stąd, że Król Przestrzeni obmyśla nową podróż i ma zamiar zabrać mnie ze sobą. Co prawda, mógł mnie też zostawić samego na Great-Eyry, skądbym się bez jego pomocy wydostać nie mógł.

Uwagę moją zwróciło niezwykle podniecenie Robura. Czy tworzył plany na przyszłość? czy też obmyślał nowe sposoby udoskonalenia swego przyrządu?...

Noc spędziłem w jednej z grot, na posłaniu z suchej trawy. Tam przyniesiono mi posiłek, 2-go i 3-go sierpnia Robur i jego towarzysze nie ustawali w pracy. Niekiedy zamieniali ze sobą jakieś słowa urywane. Zapakowywali żywność, o ile mi się zdaje, na czas dłuższy.

Może więc Robur wybierał się w jakieś krainy odległe, najprawdopodobniej na wyspę X. Od czasu do czasu przechadzał się w zamyśleniu po piaszczystej płaszczyźnie, podnosił rękę ku niebu, jak gdyby wyzywając do walki tego Boga, z którym chciał dzielić panowanie nad światem. Czyż ta pycha szalona nie doprowadzi go do zguby, w którą pociągnie za sobą i swych towarzyszy?...

Rozporządzał jedną tylko *Grozą*, a chciał, ujarzmić wszystkie żywioły!...

Przyszłość więc przedstawiała mi się w barwach czarnych. Byłem przygotowany na rzeczy najgorsze. O ucieczce z Great-Eyry przed nową wyprawą, trudno było nawet marzyć — Tem mniej podczas podróży napowietrznej, lub wodnej.

Od chwili przybycia na Great-Eyry nosiłem się z myślą rozpytania Robura co ze mną zrobić zamierza. Dzisiaj postanowiłem przystąpić do tej rozmowy.

Całe popołudnie chodziłem po grocie tam i napowrót. Robur stał u wejścia, przyglądając mi się bocznie.

Zbliżyłem się ku niemu:

— Kapitanie — rzekłem — zapytywałem już pana przed kilku dniami, jakie masz względem mnie zamiary? Nie raczyłeś mi odpowiedzieć... może dzisiaj będę szczęśliwszym?

Staliśmy naprzeciw siebie. Z rękami skrzyżowanymi na piersiach patrzył mi prosto w oczy. Wzrok jego przeraził mnie. Było w nim coś nad ludzkiego.

Ponowiłem pytanie tonem rozkazującym. Na chwilę zdawało mi się, że wyjdzie ze swej

Chór kwiatów.

Wybaw nas Sędziwoju,
Wybaw nas z niewoli,
Ulituj się kwiateczków
Nieszczęśliwej doli.

Sędziwoj. Jakże mi was żal, biedne moje kwiatki. Ale cóż zrobić! nie mam mocy zamienić was z powrotem w ludzi, póki ktoś nie zapłacie nad wami i nie zrosi łzami swemi waszych listków. (Zdala daje się słyszeć głos fujarki, na scenę wchodzi pastuszek Janek i spostrzegłszy Sędziwoja, zatrzymuje się).

(d c. n.)



J. PIASECKA.

**Dzielny Jędrus.**

(Ciąg dalszy).

Zacna staruszka podsunęła Jędrusiowi nietylko poduszkę, ale i szal, a gdy powróciła. Stach rzekł do niej.

— Byłem już w policyi i dałem znać. Straż będzie rozstawiona w ukryciu tak, że jeżeli istotnie przyjdą, pochwyci ich bezwarunkowo, jeżeli nie, jutro chłopca będą badali i musi im wskazać ów warsztat i owych czeladników. Ja udałem, że wyjechałem i w kamienicy wiedzą już wszyscy, że mnie nie ma, bom się stróżowi kazał odprowadzić na stacyę. Wróciłem w przebraniu, jak ciocia widzi, i wtedy, gdy jeszcze światła w sieni nie było, nikt więc nie wie, że jestem tu, trzeba sprawiać się cicho, aby naszej rozmowy kto nie usłyszał. Najlepiej będzie, gdy się wcześniej położymy spać i światło zgasimy.

Ciotka kiwnęła głową na znak, że na wszystko się zgadza, a po wczesnej herbacie, którą wypili w milczeniu, istotnie skołatana wrażeniami położyła się, a później trochę, Stach słyszał jak głośno chrapała.

— Dobrze, — pomyślał, — śpi, jeżeli przyjdą, oszczędzi sobie przestachu, ja naturalnie, czuwać będę.

Położył się na kanapie, mając obok nabity rewolwer.

— Użyję broni wtedy tylko, jeżeli mi grozili śmiercią, w obronie własnego i cudzego życia zrobić to będę musiał.

Sen uciekł gdzieś daleko. Mimo grobowej ciszy i jednostajnego cykania zegara, pan Stach

był zupełnie trzeźwy. Liczył godziny, które się wlokły jak wieki.

Nagle z uderzeniem godziny pierwszej, o uszy jego obił się jakby lekki szmer, jakby skrobanie myszy w dziurze pod podłogą.

Podwoił słuch i uwagę.

Czy się nie myli, czy to nie złodzieje? A może to tylko mysz chrupie sobie jakiś pozostawiony kawałek cukru?

Nie, szelest pochodzi od drzwi, wyraźne piłowanie drzewa, później lekki trzask pękającej deski, a później jeszcze przekręcanie klucza w zamku.

— Już drzwi otworzyli, pomyślał, i ścisnął silnie rewolwer w ręce, trzeba im pozwolić wejść, łatwiej będzie złapać. Czy tylko na zewnątrz są policyjanci, czy ich śledzą? jeżeli nie?

— Ha! w takim razie strzelę. Niegodziwcy, weiskający się nocą po mienie i życie drugich, nie warci nic lepszego.

Drzwi lekko skrzypnęły i do pokoju, w którym leżał pan Stach wślizgnął się człowiek z ukrytą latarką w ręce, a za nim drugi podszedł do biurka.

Pan Stach zerwał się, jednocześnie ktoś w drzwiach wchodowych świsnął przeciągle i za złodziejami wpadli policyjanci.

Łotrzy w pierwszej chwili stracili przytomność, trzymający latarkę zgasił ją widząc jedyny ratunek w ciemnościach i w pięści, rzucał się więc na pana Stacha, chcąc go uderzeniem przewrócić na ziemię, ale ten wyciągnął ku niemu rękę z rewolwerem i zawołał:

— Stój, bo strzelę!

Policyjanci przy drzwiach pochwycili już jednego złodzieja, w tej sekundzie dwaj inni obezwładnili drugiego, związali im ręce i nogi sznurami i zabrawszy ich złodziejskie narzędzia i latarkę, odchodząc rzekli:

— Odprowadzimy ich do aresztu, gdzie siedzieć będą aż ich osadzą, niech pan zabezpieczy teraz drzwi, o ile to jest możebnem, jeżeli będzie potrzeba, poprosimy pana jutro o wyjaśnienie, skąd się pan dowiedział o spodziewanym napadzie. Jeżeli się nie przyznają, wskaże nam pan miejsce ich zamieszkania, może tam w tej norze pochwycimy więcej takich ptaszków.

Pan Stach przyrzekł, że zrobi co będą żądali, a gdy na hałas i krzyk pobudzili się inni mieszkańcy domu i przyszedłszy zaczęli dopytywać co się stało, pan Stach kilkoma słowami objaśnił, uspokoił, a później kazał zamknąć bramę i, zastawiwszy zepsute drzwi, wrócił do siebie.

Był rozdrażniony, usiadł i myślał:

— Jaką nicocenioną usługę oddał nam ten mały. Coby to było, gdyby ich nie był

uprzedził. Mnie by tu już nie było, a biedną ciotkę ograbiliby z pieniędzy i przyprawili może o śmierć ze strachu. O jaki Bóg dobry, że nam zesłał tego pocziwego chłopczykę. Jutro jeśli będzie o tyle zdrowszy, że będzie mógł mi wszystko ze szczegółami opowiedzieć, musi się też wytłomaczyć skąd ma pieniądze. Dziecku nikt nigdy tak dużo pieniędzy nie daje, tem więcej to podejrzane, że jest bez miejsca i opieki, a w dodatku miał znajomość ze złodziejami.

Chciał usnąć, aby choć na chwilę zapomnieć o niemiłym zajściu, nie mógł. Siedział więc dalej, gdy wtem, pocielutku, z drugiego pokoju wchodzi ciotka ze świecą w rękę.

— Stachu, — woła. Ach to ty nie śpisz, dobrze, dobrze, mój chłopcze, ja także spać nie mogę, ciągle mi się zdaje, że ktoś chodzi, otwiera, a przecież niema nikogo, daję ci słowo, że wyraźnie słyszałam zgrzyt jakiegoś narzędzia, a przecież jestem głucha.

Stach w głębi duszy zadowolony, że starszuszka z powodu swej głuchoty uniknęła takiej wielkiej przykrości, rzekł:

— Niech się ciocia położy i śpi spokojnie, ja czuwam, nie dopuszczę ich tu.

— A, to dobrze, doskonale, chłopcze kochany, ale, jakby broń Boże przyszli to zaraz strzel, strzał przecież usłyszę i przybiegnę ci z pomocą.

— Dobrze, dobrze.

Położyła się najspokojniej, a po chwili Stach słyszał znów jej chrapanie.

I sam zgasił światło i położył się, a w tej chwili Jędrus w gorączce usiadł, wyciągał przed siebie ręce, jakby kogoś odpychał i krzyczał.

— Nie kradnij, nie kradnij, to grzech, to wielki grzech. Bóg wcześniej, czy później karę ześle na ciebie. Będzie ci źle bardzo źle! Bóg jest dobry, miłosierny, ale także sprawiedliwy. Jego ręka dosięgnie cię wszędzie.



Zadania i łamigłówki.

Zagadka literowa.

ut. Nadwiślanin.

Liczba głosek dość obfita,
Kto chce zgadnąć, niechaj czyta:
Pierwsza bywa w każdym drzewie,
Drugą zobaczysz w ulewie.
Tercią usłyszysz w rozmowie,
Czwartą mają aniołowie,

Piąta w każdym niepokoju,
Szóstą znaleźć można w znoju,
Siódmą ujrzysz w abecadle,
Ósmą przebywa w mokradle,
Dziewiątą posiada oko,
Dziesiątą całe Marokko,
Jedenastą wewnątrz miasta,
A w nawiasie tkwi *dwunasta*,
Trzynasta widoczna w sadzie
Tuż *czternasta* w maskaradzie,
Wreszcie *piętnasta* ostatnia
Ma ją każda dusza bratnia.
Niechaj więc czytelnik szparki
Zaraz z liter tych układa
Imię, nazwisko pisarki
Co dla was pisuje rada.

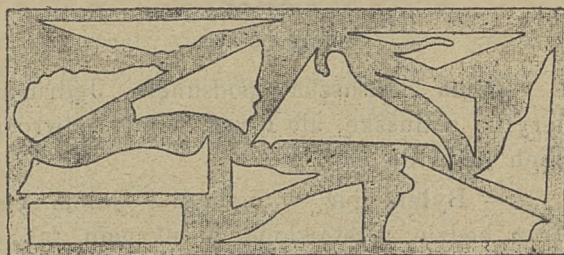
FIGIEL.

ul. Wędrownik.

Jak zrobić miasto z ciasta?

Łamigłówka obrazkowa.

podał *Wieczór Rodzinny*.



Z podanych kawałków zestawie podobiznę słonia.

Uwaga. Dla rozwiązania tej łamigłówki, aby nie psuć pisma, najlepiej przerysować wszystko na cienki papier i powycinać z niego podane formy kawałki, z których ma być ułożony słon.

Rozwiązania do № 39-go.

Rebusa: Z roztropności pożytku więcej niżli z siły
Szarady: Ja—nów.

Zadania na dobieranie rymów:

Dawno święty Wawrzyniec
Postrząsał orzechy,
W całym polu gościniec
Nie masz na niem uciechy.

Przeszedł sierpień i wrzesień,
Kłosek, kwiatków już niema,
Jednak piękna ta jesień
Chociaż za nią już zima.

Z wiosną drzewa zielone,
W sadach, górach, po jarach,
Teraz złote czerwone,
Niby w bajce o czarach.

Z poezji Emilii Lejowej.



roli milczącej. Wywierał wrażenie człowieka, opanowanego myślą wyłączną... zdawało się, że jakaś siła nieprzeparta odrywa go od ziemi, unosząc ku wyższym szlakom atmosfery.

Nie wyrzekł słowa i odszedł do groty, gdzie nań czekał Turner.

Nie miałem najmniejszego pojęcia, jak długo potrwa nasz pobyt na Great-Eyry. Trzeciego sierpnia jednak pod wieczor zauważyłem, że roboty około naprawy przyrządu zostały ukończone. Wszystkie składy statku napełniono zapasami żywności, przechowywanej w grotach. Wreszcie w środku płaszczyzny, na grubym pokładzie z suchej trawy Turner i jego towarzysz ułożyli stos z resztek materyałów, pustych skrzyń, kawałków drzewa. Przyszło mi na myśl, że Robur zamierza opuścić Great-Eyry na zawsze.

Nie dziwiło mnie to bynajmniej. Wiedział przecież, że uwaga ogółu zwrócona była na ten szczyt tajemniczy, że pierwiej czy później nowa wyprawa postanowiona zostanie. Na wszelki wypadek chciał więc zatrzeć ślady swego tutaj pobytu.

Słońce znikło za grzbietem gór Błękitnych, tylko ostatnie promienie złociły sterczący dumnie Black-Dome. Prawdopodobnie z nadejściem nocy rozpocznie się napowietrzna wędrówka.

Około dziewiątej zapanowały ciemności zupełne. Skłębione chmury zawisły na niebiosach. Nie widać było ani jednej gwiazdy. Z pewnością więc mieszkańcy nizin nie spostrzegą odlotu *Grozy*...

Nagle Turner zbliżył się do stosu i podłożył ogień pod suche trawy.

W jednej chwili wszystko stanęło w płomieniach. Snopy światła wydierały się z pomiędzy gęstych kłębow dymu wznosząc się wysoko po nad skaliste złomy. Raz więc jeszcze mieszkańcy Morgantonu i Pleasant-Gardenu zadrżeli z obawy przed wybuchem wulkanicznym.

Stałem nieco opodal, przyglądając się pożarowi i wsłuchując się w trzask palących się drzew, Robur w głębokim milczeniu przypatrywał się wspaniałemu widokowi, Turner i jego towarzysz zbierali niedopalone kawałki drzewa i wrzucali je w środek płomienia.

Powoli ogień zaczął się zmniejszać, wreszcie zagasił zupełnie, żarzyły się tylko węgle przykryte gęstą warstwą popiołu. Zapanowała cisza.

Nagle ręka jakaś pochwyciła mnie za ramię. To Turner pociągnął mnie gwałtownie na pokład. Wszelki opór byłby daremny, zresztą cóż za cel byłby pozostawać samemu na Great-Eyry?

W chwilę później kłapa zamknęła się za mną. Znalazłem się w swej dawnej kajucie, jak w więzieniu. Podobnie jak wtedy, gdyśmy opuszczali Niagarę skazany byłem na odosobnienie ruchów *Grozy* obserwować nie mogłem.

Słyszałem tylko huk maszyny, odczułem kilka wstrząśnień, jak gdyby kołysań się statku, poczem dolne turbiny zaczęły się poruszać z szybkością gwałtowną, a potężne skrzydła były rytmicznie.

A zatem *Groza* opuściła Great Eyry i prawdopodobnie na zawsze. Wzniesiliśmy się ponad Alleghany, lecz dokąd lecimy? O tem nie miałem najmniejszego pojęcia. Gdy jutro znajdę się na pokładzie i dokoła siebie ujrzę nlebo i morze, jakże odgadnę, czy szybujemy nad Atlantyką, czy też ponad Oceanem Spokojnym lub zatoką Meksykańską?

Upłynęło kilka długich godzin. Nie próbowałem nawet zasnąć. Myśli bezładne, niepokojące tłoczyły się w moim mózgu. Zdawało mi się, że jakiś potwór napowietrzny unosi mnie w przestworza.., przypominała mi się nadzwyczajna podróż Albatrosa, której opis podali swego czasu Uncle Prudent i Phil Evans. Dzisiaj Robur Zwycięzca, pan ziemi, morza i powietrza jest przecie w warunkach dużo świetniejszych.

Wreszcie pierwsze promienie świtu wpadły przez okienko kajuty.

Spróbowałem podnieść kłapę. Na szczęście nie była zamknięta.

Wysunąłem się do połowy. Dokoła rozciągała się bezkresna wodna płaszczyzna. Znajdowaliśmy się przynajmniej o jakie 1000 — 1200 stóp ponad poziomem.

Robura na pokładzie nie było.

Turner stał przy rudlu, towarzysz jego na przodzie.

Na wstępie uderzył mnie ruch potężnych skrzydeł, czego podczas nocnej podróży z nad Niagary dostrzedz nie mogłem.

Oryentując się przy pomocy słońca, które się wzniosło o kilka stopni po nadhoryzont, zrozumiałem, że lecimy na południe. A zatem, jeżeli od chwili odlotu z Great-Eyry, *Groza* nie zmieniła kierunku, mieliśmy pod stopami zatokę Meksykańską.

(D. n.)

Jej Wielmożność.

Prawdziwa historia sowy, opowiedziana przez właściciela, odpowiedzialnego za jej psoty.

„Wszyscy ją znali pod nazwą jej wielmożności, bo powierzliwość przypominała, sędziego lub innego dygnitarza.

Powracając raz do domu zimą, o zapadającym zmierzchu, spotkałem chłopca, ciągnącego na zardzewiałym łańcuszku pęk brudnych, najeżonych piór, które, jak się okazało przy bliższym zbadaniu, były wynędzniałą, młodą jasz-

cze sówką. Po krótkim targu, za ośmnaście pensów*) nabyłem ją na własność.

W domu przyjęto mnie z zadowoleniem... bardzo umiarkowanym!

Nie dziwnego, sowa bowiem zaczęła wypłuwać kłębki sierści (pozostałość po ostatniej zjedzonej myszy) na każdego, kto się do niej zbliżył. Nie mogłem się gorszyć obrzydzeniem całej rodziny, a pozostawszy sam na sam z nowym moim nabytkiem, zacząłem wertować książki, mogące mi dostarczyć wiadomości o sowach.

Wiadomości te różniły się bardzo, ale na jedno zgadzały się wszystkie zoologje, a mianowicie, że sierść i pióra są dla sów niezbędne do trawienia pokarmów. Byłem zgnębiony. Nie mogłem przecież łapać myszy dla jej wielmożności, a o płaszkach tem bardziej nie było mowy. Pogorszyłem sprawę wybiegiem, do jakiego się uciekłem, częstując sowę posiekaną wełną z kawałkami surowego mięsa. Potem za-

Było w niej coś tajemniczego: kiedy siedząc naprzeciw mego biurka, wpatrywała się we mnie uporczywie, przestałem się dziwić Ateńczykom, iż uznawali sowę za godło bogini mądrości.

Mój ptak w początku okazywał nieprzyjaźń wszystkim, tylko do mnie przywiązał się odrazu. Bardzo też polubił moją matkę, i co wieczór, gdy stawała we drzwiach, wpatrując się w gwiazdy, odzywał się z sąsiedniego drzewa łagodny głos, podobny do gruchania gołębi; jej wielmożność spływała bez szelestu z gałęzi i sadowiła się na ramieniu matki. Lubiła bardzo ser, i codzień po wieczery matka dawała jej kawałek sera przez okno. Ptak czekał już na to; ale z innej ręki nie chciał brać przysmaku, tylko fruwał naokoło, wydając gniwne okrzyki.

Różniła się tem od swych angielskich siostrzy, że nie unikała światła dziennego. Lubiła



Jej wielmożność.

niosłem ją do najbliższej mysiej nory i pozostawiłem własnemu przemysłowi.

Sowa zrazu wzgardziła pożywieniem z tak obrażoną miną, że odczułem zniewagę, jaką jej wyrządziłem. Ale dni mijały, jedzenie zaczęło znikać, a wygładzone pióra i zaokrąglone kształty jej wielmożności świadczyły, że nie pędzi beczynnego życia.

Była to sowa francuzka, mniejsza od angielskich, z piórkami popielatymi piętnami na skrzydłach, i śnieżno białymi piórkami na piersiach. Dowiedziałem się później, że jakiś Francuz przywiózł ją w podarunku, ale że w Anglii sowy uważane są za „ptaki złowieszcze“, wróżące nieszczęście, dar widać nie był mile przyjęty, a biedna sowa została wygnana i rzucona na pastwę losu.

nawet przesadywać godzinami w wysoko położonem oknie, skąd był rozległy widok na okolicę. Śledziła stamtąd wszystkich przychodzących i wychodzących z domu.

Chłopak od rzeźnika miewał z nią ciężkie przeprawy. Obawiał się śmiertelnie sowy, a jej wielmożność zmiarkowawszy to, umiała wyyskać jego tchórzostwo. Lubiła bardzo soczyste surowe kotlety, i wkrótce odkryła, że te przysmaki leżą na dnie kosza chłopaka. Codzień przed zjawieniem się jego, sowa kryła się wśród liści drzewa, albo w krzakach, a gdy chłopiec ją mijał, rzucała mu się prosto w twarz, bijąc skrzydłami. Chłopak stawiał kosz i bronił się a sowa z kotletem chroniła się do ulubionego okna, gdzie jej niepodobna było dosięgnąć. Chłopak zaś odchodził, przeklinając dyabelskiego ptaka.

Po pewnym czasie, jej wielmożność, zaznajomiwszy się z otoczeniem, zaczęła pędzić żywot mniej samotny, i chodzić w odwiedziny do kuchni. Zajmowały ją żywo kuchenne spra-

*) pens=¹/₁₂ szyllinga, około 7 kop.

wy, śledziła bacznie każdy ruch kucharki, którą przejmowały strachem okrągłe, uroczyście wpatrujące się oczy ptaka. Ponieważ nie mogła pozbyć się go z kuchni, odwracała jego uwagę, rzucając mu kawałki mięsa. Ptak, zrozumiawszy co się święci, zaczął coraz częściej i dłużej przebywać w kuchni, tak dalece, że według słów kucharki zjadłby „całą jatkę“. Skończyło się na tem, że dla spokoju musiałem kosztem własnych oszczędności odrutować okno od kuchni.

Skutkiem tego jej wielmożność zabrała się gorliwie do rybołówstwa. W ogrodzie przepływał strumień, obfitujący w pstrągi, a w jednym miejscu przerzucony był przez niego chiński mostek. Pod tym mostkiem, na piasku, sowa przesiadywała godzinami, czatując cierpliwie na centkowane pstrągi. Z czasem nabrała wielkiej wprawy w tych łowach, a po zjedzeniu ryby, szła na drzemkę do swego ulubionego miejsca.

Zawiązała też przyjazne stosunki z wszystkimi psami, ale koty budziły w niej niezwykły wstręt, i nie opuszczała żadnej sposobności stoczenia z nimi bójki. Potrafiła dać radę i dwom odrazu, poczem fruwała tryumfując nad pobojowiskiem, ku wielkiej ucieście przyjaciół z psiego rodu, śledzących z zajęciem przebieg walki.

Ptak był ulubieńcem stajni, gdzie z podziwem przyjmowano go, jako niezrównanego pogromcę szczurów. Konie nie bały go się wcale i pozwalały siadać na grzbietach, dopóki szczur nie ukazał się pod żłobem, a gdy sowa rzuciła się na niego, nieczyje oczy nie oglądały już więcej nieszczęśliwego gryzonia.

Po kilku miesiącach okazał się w domu brak myszy, skutkiem czego jej wielmożność zaczęła się wyprawiać na żer w dalsze strony, ilekroć napadła ją ochota na upolowanie myszy. Nieobecność jej trwała czasami i tydzień, poczem powracała z najeżonemi i zbrudzonemi piórami, a cała jej powierzchowność świadczyła, że pościła. Zwracała się w tych razach prosto do mojej matki, rozumiejąc dobrze, że ona najprędzej dopomoże w biedzie.

Nie pochwalałem wcale tych wycieczek, tem bardziej, że ptak nie miał oznaczonych godzin powrotu i niekiedy zjawiał się w najniewłaściwszej porze.

Pewnej nocy wszystkich w domu zbudził wrzask, dochodzący z pokoju służącej. Zbiegliśmy się w bardzo niezupełnych strojach, i zastaliśmy dziewczynę schowaną z głową pod kołdrę, a na poręczy łóżka rozsiadła się jej wielmożność, sycząc jak wąż.

Okazało się, że powróciwszy z wyprawy sowa wsunęła się przez okienko otwarte z powodu gorąca i postanowiwszy umieścić się w łóżku, robiła sobie miejsce dziobem i szponami, nie bacząc na jego właścicielkę.

Jej wielmożność lubiła namiętnie muzykę. a ilekroć matka moja zaczynała śpiewać lub grać, po pierwszych taktach sowa spuszczała się szybko i zasiadała na oknie, a gdy przebrzmiały ostatnie tony, znikała również cicho i spiesźnie.

Za dworem przy miasteczku była oberża, gdzie ludzie schodzili się w ogrodzie na piwo, chłopiec grywał na skrzypcach. Jej wielmo-

żność zaczęła należeć do tych zebrań, a miała tam opiekuna i obrońcę, którego kudłaty grzbiet służył jej za siedzenie. Biada niebaczemu chłopcu, któryby wdał się w jakiś zatarg z jej wielmożnością, pies ukarałby go na miejscu. Goście oberży przyjmowali ją gościnnie, czuwali nad tem, żeby jej się nie stało nic złego, i odnosili ją kolejno do domu, ażeby nie zabłądziła, podążając za skrzypkiem, który ją wabił muzyką.

Wszystko się kończy na tym świecie, skończył się też, niestety, i żywot jej wielmożności. Wyjechałem z domu do krewnych, matka wychodziła mało z powodu wielkich upałów, więc ptak, pozostawiony sam sobie, musiał czuć się osamotniony i robił częstsze niż przedtem wyprawy. Parę razy przynosił go uprzejmi sąsiedzi. Lecz pewnego dnia przyniesiono poraz ostatni jej wielmożność — zeszytniała, zimną — nieżywą, żaloszny pęk ociekających wodą piór. Wiedocześnie zaskoczyła ją w drodze gwałtowna burza, szalejąca dnia tego, i biedny ptak nie miał dość siły, żeby się utrzymać na zmoczonych skrzydłach, wśród wścieklej wichury i utonął w wielkiej kałuży.

Jego krótkie, pełne przygod życie skończyło się, i nie ja sam tylko go żałowałem. Matce brak go wieczorem, gdy patrzy na gwiazdy, psy węszą pilnie po wszystkich kątach, nie mogąc pojąć co się stało. Konie spoglądają na mnie z wyrzutem, jakby chciały zapytać, co zrobiłem z ich skrzydlatym przyjacielem?

A ja, chodząc pod cieniem drzew o zmierzchu, napróżno nad słuchając głosu sowy, lub siedząc przy biurku szukam ze smutkiem okrągłych błyszczących oczu ptaka, wpatrujących się we mnie. Tylko fotografia jego wisi na ścianie, a ja spoglądam i myślę o nim i o innych, którzy już także nie żyją...

Harrow. 20/VIII 05.

przeł. z ang. M. G.

Skrzynka do listów.

Czy modliliście się, pisklęta moje, w starożytnej farze lub u św. Aleksandra dnia 7-o października, kiedy szkoły i pensye prywatne zebrane na dwóch krańcach Warszawy dziękowały Bogu za to, że w tych zakładach uzyskano prawo uczenia się większości przedmiotów we własnym języku. Byłam i ja z wami, szukałam myślą, które z was zaliczać mam prawo do Jaskółczego grona, bo pragnęłam szepnąć moim wybranym, iż bardziej niż dotąd należy im starać się o pilność w nauce, karność w postępowaniu, dzielność i szlachetność w obcowaniu z towarzyszami pracy; okazać się godnymi być pierwszym zastępem młodzieży uczonych w nowych, lepszych warunkach. Niech «dzieci Wieczorów» świecą przykładem wszystkim innym. niech przyniosą zaszczyt piśmu, które szczepić się stara uczucia obywatelskiej cnoty. niech ucieszą Jaskółkę, bo ze łzami w oczach pisze te słowa, zanim przejdzie do odpowiedzi na listy.

Nowej Jadwiśce. Nie jesteś Jadwiśką, z którą przez lat kilka prowadziłam korespondencję. Tamta zamilkła od maja i nie wiem, czy odezwie się jeszcze, mój słowik kochany. *Nowa Jadwiśka* jest młodziutką ale też bardzo miłą korespondentką, chętnie biorę ją

pod swoje skrzydła, dziękując za sukienkę uszytą dla biednych dzieci i prosząc, aby w następnym liście doniosła dużo szczegółów o sobie, rodzeństwie, swojej nauce i zabawie.

Puk! puk! Kto tam? To **Blaskooczek** i **Krasnula** zajrzeli do Jaskółki. Chciecie wiedzieć, jak usłane moje gniazdeczko, dobrze, zaraz wam je pokażę. Ja jestem ptak innego gatunku niż moje skrzydlate towarzyski, więc zamiast gliny, piór i śmieci, z których zwykła ptaszyna domek dzieciom klei, zastaniecie w moim dużo liścików, dużo fotografii różnych jaskółczych piskląt. Są między nimi milutki, dobre twarzyczki. Może *Blaskooczek* i *Krasnula* prześlą mi też swoje fotografie, a ja im za nie bardzo podziękuję. Ale zdradzać tajemnic redakcyi nie mogę, dlatego pytania wasze muszę zostawić bez odpowiedzi.

Dziękuję **Smółko różowa** za obietnicę napisania własnoręcznego listu. Biedna *Smółka* nie biega już po ogrodzie, nie zbiera suchych gałęzy na opał bo zimno, prawda dziecino? Za to pełno jej wszędzie we dworze. i mamusi usłuży w czym może, i tatusia zabawi, pocieszy, i Agatkę, gdy zrzędzi, rozśmieszysz i z Tadiem wciąż psocić gotowa, niech Bóg w zdrowiu tę *Smółkę* uchwali.

A niech **Białej Lewkonii** nagrodi pamięć o biednych dzieciach i dar dla nich przysłany. Tylko czemu *Lewkonio* tak rzadko się do nas odzywasz i nie donosisz nic ani o sobie ani o siostrze?

Wielką zrobiłaś mi przyjemność **Krasko Leśna** przysłaniem fotografii. Śliczne i w ślicznej miejscowości usłane wasze gniazdo, dawno o tem słyszałam, ale mało wiem o ptakach z tego gniazda, co porabiasz ty Krasko Zimorodek i Kobuzek. Czy Zimorodek zasługuje zawsze na nazwę Paderewskiego. Widzisz, pamiętam wszystko, co się odnosi do dzieci Wieczorów, niechże one nie zominają o Jaskółce.

Dziękuję za uściśnienia **Cyganko**, bardzo mi był miły ten objaw uczucia i chętnie utuliłabym skrzydłami drogą dziecinę, która nie ma matki. Zgadza się na twoje zdanie o Zakopanem, ja także miałam ochotę zakląć Gewont, żeby się rozstał jak sławny Sezam z bajki, i odsłonił nam ukrywane zazdrośnie światy. Dzielę i twoje uwielbienie dla morza, nie zgadzamy się tylko w sądzie o poetach, ja nad wszystkich przenoszę Mickiewicza. To też gdybym miała, jak ty *Cyganko*, mieć ulubioną cyfrę wybrałabym czterdzieści cztery, tę tajemniczą liczbę wieszczą, która kryje niezbadaną dotąd zagadkę jego myśli.

Trawka Sławieńska jest wielkie nicdobrego, bo milczy uparcie choć obiecała pisać. My tu rozmawiamy o niej często z Renią, Calóweczką i Detyną. Rysunki Wisusa otrzymały nagrodę na konkursie.

Na ostatek zostawiłam list twój **Quintusie**, gdyż pragnę zainteresować nim także nasze grono. Quintus swoją pracą pomaga w utrzymaniu matki, bo ojciec jego już nie żyje, ale matka uległa teraz ciężkiemu wypadkowi i leży chora, a on dostał tylko jedną korepetycję. Trzeba więc *natychmiast* radzić na złą dolę wyszukianiem mu drugiej lekcyi. Prosimy Quintusa, aby się zgłosił do redakcyi, a tymczasem, wszyscy, prawda, że wszyscy, szukać będziemy dla ciebie pracy. Wszak nie potrzebuję polecać tej prośby sercom moich korespondentów, wszak zrobicie co w waszej mocy. Nie wątpi o tem

Jaskółka.

Wydawnictwa GEBETHNERA i WOLFFA NOWE PODRĘCZNIKI SZKOLNE:

- Bogucka C. i Niewiadomska C. Pierwsza książka do czytania** dla dzieci od lat 7-miu (zaraz po elementarzu) karton. —.40
- **Druga książka do czytania.** Z ćwiczeniami gramatycznymi i dla dzieci od lat 8—10-ciu. Wyd. 2-gie, przejrzane i poprawione, karton. —.80
- Bogucka C., Niewiadomska C. i Warnkówn J. Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania.** Stopień I—15 k. Stopień II—20
- Chrzęszczewska J. i Warnkówna J. Rok czytania. Wypisy** na klasę pierwszą. Wyd. 2-gie, przejrzane i poprawione. W oprawie 1—
- Dmochowski F. S. Krótki zbiór historii Polskiej** podług najnowszych źródeł histor. Wyd. nowe, poprawione, rozwinięte i uzupełnione spisem chronologicznym 40 kop., karton. —.50
- Drzewiecki Konrad. Początki gramatyki języka polskiego** z ćwiczeniami z przykładami. Wyd. 2-gie, przejrzane i poprawione. Karton —.60
- Galle Henryk. Wypisy polskie** z dziejów literatury do użytku szkolnego. Ktb. 1.20, w oprawie 1.50
- Heilpern M. Zasady botaniki.** Podług 23 wydania dzieła «Księga Przyrody» d-ra Fryderyka Schoedlera, zmienionego i zredagowanego przez prof. d-ra O. W. Thomego. Z 281 rys. w tekście 1.—
- W opr. płóc. 1.20
- Koneczny Feliks Dr. Dzieje Narodu Polskiego,** opowiedziane dla młodzieży. Karton. kop. 80, w oprawie płóc. 1.—
- Korzon Tadeusz. Historia starożytna** sposobem elementarnym wyłożona. Ze 113 rysunkami w tekście, z dołączeniem 3 map, planu i tablicy synchronistycznej. Wyd. 4-te poprawne rb. 1.50 w opr. 1.70
- Niewiadomska C. Pierwszy rok gramatyki.** —.15
- Nussbaum J. Dr. Podręcznik zoologii** do użytku w klasach niższych szkół średnich, oraz do nauczania prywatnego dla młodzieży od lat 10—14. Z 272 rysunkami w tekście rb. 1.80, w opr. płóc. 2.—

Katalogi szczegółowe książek *pedagogicznych* na żądanie bezpłatnie.

Darmo wysyłamy na żądanie
Ilustrowany Cennik
Zabawek, Zajęć pożytecznych
i Gier towarzyskich oraz pouczających.
Wiśniakowski i Sp.
Warszawa. Szpitalna № 8.

TREŚĆ:

Do pracy przyjaciele młodzi, przez K. Laskowskiego (z ryc.) — Obrazy z dziejów piśmiennictwa polskiego przez M. Dynowskiego. — Przygody Imię Pana Mikołaja, przez Z. Morawską. — Zdanla i myśli. — Ormianie i Tatarzy zakaukazy (z ryc.) — Daniel w jaskini lwów (z ryc.). — Król przestrzeni przez J. Verne'a. — Jej wielmożność przek. z ang. przez M. G. (z ryc.) — Skrzynka do listów.

Dodatek: Skrzętne wiewióreczki, wiersz, (z ryc.)
List Krysi S. do Marychny P. — Napad na zamek. — Dzielny Jędrus, przez J. Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1. pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Wydawczyni **Marya z Chomentowskich Balińska.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 5 Октября 1905 г.

W drukarni **E. Szyllera, Nowy-Swiat 26.**